Nr. 3. We Lwowie dnia 21. stycznia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

RODOĆ.

(MIKOŁAJ BIERNACKI).

Rodoć urodził się 6 czerwca 1836 r. we wsi Cyganówka Zieleniecka pod Kamieńcem Podolskim — z ojca wyższego urzędnika i matki z domu Podłuskich, córki bogatego właściciela ziemskiego.

Ojciec był człowiekiem pracowitym, ale konserwatystą bardzo miernych zdolności; zdrowie miał żelazne, żył lat 96. Po ojcu odziedziczył nasz poeta zdrowie.

Matka, bardzo wrażliwa i zdolna, nieodebrawszy wielkiego wykształcenia, sama wykształciła się niepospolicie. Umarła w wieku lat 50, a ostatnich lat 20 cierpiała na rodzaj melancholji.

Ojciec był prawosławnym z musu, zresztą najzupełniej na kwestje religijne obojętny; matka katoliczka, również obojętna. Syna ochrzczono z musu na prawosławje, ale całe otoczenie domowe — bo ojciec mało się mięszał do jego wychowania — uczyniło zeń katolika.

Z powodu prawosławja całe dzieciństwo poety od 10 roku począwszy, było jednem pasmem cierpienia. Samo chodzenie w niedzielę do cerkwi było dla niego strasznem. Początki nauki odebrał w domu, klasę 3. i 4. ukończył w prywatnym zakładzie niemca Vatke, a 5—7 w Instytucie szlacheckim w Warszawie, który był nieco wyższym zakładem od gimnazjów. Wspomnienia szkolne zabarwia goryczą stosunek do kolegów, którzy nie mogli zapomnieć, że przyszły poeta był prawosławnym, ani mu tego darować.

Głównym rysem dziecka była bojaźliwość i nieśmiałość. Zabaw z chłopcami nie lubił, przekładając towarzystwo dziewcząteк. Po wyjściu z Instytutu wszedł Biernacki do służby w byłej Komisji Spraw wewnętrznych Królestwa, gdzie pozostawał do r. 1863., w którym to roku kupił wieś Czerwonkę o 7 mil od Warszawy i gospodarował na niej do r. 1874.

Tu rozegrały się najważniejsze chwile w życiu Biernackiego. Oddał się z zapałem rolnictwu i pisywał artykuły do »Gazety rolniczej«. O poezji ani mu się śniło. W owych czasach był już poważnym ojcem rodziny, gdyż ożenił się nader wcześnie, w 22 roku życia, a nie chcąc chrzcić dzieci na prawosławje, doznawał stąd mnóstwa przykrości i kłopotów, aż doszło do tego, że przestraszał go każdy turkot bryczki. Położenie w końcu stało się tak nieznośnem, że w r. 1874 sprzedał majątek za bezcen i wyjechał jako wdowiec po pierwszej żonie, Natalji Szulc Holnickiej, z pięciorgiem dzieci drobnych do Galicji.

Na krótko przedtem zaczął tworzyć. Laską Mojżesza, pod której dotknięciem trysnęło z jego duszy żywe źródło poezji, była — miłość. Utraciwszy żonę, zakochał się w jej siostrze, mężatce, i pod wpływem tego uczucia napisał ze 2 tomy liryki, które posłał Kraszewskiemu do oceny i wkrótce otrzymał od nestora naszego piśmiennictwa zapewnienie, że są »nie tęgie« — co wobec uwielbiającej literatów pani jego myśli naraziło go na żarty. Pisał jednak dalej, Kraszewski wciąż ganił, a ona wciąż się śmiała. Kraszewski radził pisać zwięźlej i treściwiej, radził szukać nowych dróg. Pod wpływem owych rad sprobował nieszczęsny poeta tłumaczyć Berangera, a gdy te próby posłał Kraszewskiemu, otrzymał krótki nakaz: drukuj i idź naprzód, nie pytając o nic.

Takim był początek literackiej karjery Rodocia.

Przybywszy do Galicji, pozostawał krótko w Krakowie, poczem kupiwszy wieś Boczów, zamieszkał w niej do roku 1878, to jest do chwili nabycia od Adama Bartoszewicza połowy »księgarni polskiej«, od Rogosza zaś czasopisma »Tydzień«, które redagował do r. 1881. »Tydzień«

upadł, pomimo że go wspierały takie siły, jak: Sienkiewicz, Ochorowicz, Abakanowicz, Kozłowski, Lam, Tretiak, Wilczyński, Kraszewski i inni.

Od r. 1886 Biernacki, straciwszy znaczny majątek, pełni obowiązki urzędnika w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń. Majątek stracił trochę przez brak rachunku, ale głównie przez nagłą sprzedaż dóbr w Królestwie, a potem w Galicji. Na księgarni deficyt wyniósł również 10 000 zł. a na »Tygodniu« 8000 zł.

Głównym powodem tych strat był jego temperament. W interesach kierował się wrażliwością, nie miał serca odmówić komuś czego. Każdy interes go niszczy i ten tylko dzień uważa za szczęśliwy, w którym nie ma nic do załatwienia, choćby to było np. kupno tytoniu lub zapałek. Głównym bowiem rysem jego charakteru jest namiętność i lekkomyślność. Urazę odczuwa gwałtownie, ale na bardzo krótko, niezgody nienawidzi i, choćby miał słuszność, pierwszy przeprasza. Stąd stara się, ażeby nikomu nie wyrządzić przykrości najmniejszej. W ogóle przeszedłszy wiele jak najrozmaitszych koleji losu ma pobłażanie nieograniczone.

Główny wpływ na twórczość poetycką Rodocia wywarł Mickiewicz — ten dał mu podkład uczuciowy zgodny z jego charakterem. W ogóle zanim pisać zaczął, a i dziś jeszcze — czyta i studjuje stosunkowo mało. Nauczycielem piękna była dlań natura — i tylko natura, a nauczycielem rytmu muzyka, której wiele się oddawał już od 15. roku życia.

Biczyk satyry Rodocia smaga zlekka tylko ujemne stosunki. Autor nie lubuje się w wyśmiewaniu a nawet nie ma daru obserwacji i jeżeli stworzy typ jaki, to chyba w ten sposób, że, czytając to samo lub słysząc, chwyta jeden rys, jedno słowo i rzecz uogólnia. W szczegóły drobne nie wdaje się, skąd do najlepszych prac jego należą krótkie utwory, obejmujące w najgrubszych rysach całość przedmiotu.

Fraszki tworzy z łatwością. Chwyta zazwyczaj jeden frazes i potem buduje na tym piasku pałace. Najczęściej — prawie zawsze — myśli nad charakterystycznem zakończeniem, reszta sama z siebie przychodzi. Dłuższe rzeczy, jak np. choćby gawędy, więcej kosztują go pracy i o tyle są coś warte, o ile składają się niejako z szeregu oddzielnych satyrek. Od innych humorystów naszych — których mamy niewielu — różni się Rodoć pewną lekkością, swobodą, a przytem i życiową prawdą. Humor jego jest rubaszno-szlachecki, ma coś z Paska i Falstafa zarazem.

Z piórem w ręku nie potrafi nic napisać, układa swoje utwory chodząc po ulicy, albo najczęściej w nocy. Budząc się co godziny, co dwie, zapala papierosa, gasi światło i rzecz obmyśla, a rano wstając, ma ją gotową, pozostaje tylko proces przelania na papier rymów. »Ciemność mi pomaga — mawia Rodoć — Gdy patrzę na świat, wszystko mnie zajmuje, więc i formułowanie myśli z trudnością mi przychodzi, dopiero w ciszy nocnej mogę wżyć się w sceny, które sobie tworzę i rozmówić się z ludźmi, grającymi rolę w mojej satyrze«. Zresztą, pisząc czy poprawiając i przerabiając jaką satyrę, może jednocześnie robić co innego np. pisać w biurze, grać w karty, rozmawiać i t. p. To go nie męczy ani mu bardzo nie przeszkadza, choć w nocy, i to ostatnie wykończenie, idzie mu o wiele łatwiej i lepiej.

Każdy wierszyk musi Rodoć kilkakrotnie opracować, gdyż łatwo mu tworzenie nie przychodzi. Dawniej zwłaszcza uczył się zwięzłości i mocy w ten sposób, że napisawszy np. 60 wierszy, przerabiał to samo na 40, te na 20 a potem na 10, i przekonał się, że te 10 wierszy mówią to wszystko, co tamte 60, i to daleko lepiej. Dziś takie przerabianie rzadziej mu się zdarza, bo ma wprawę, ale się zdarza.

Przewaga Rodocia nad innymi humorystami polega na tem, że buduje wiersz architektonicznie, podrzędne epizody malując słabiej umyślnie, a ważne mocniej, skąd efekt. Ideałem jego jest Dickens, ze swojskich zaś pisarzy Syrykomla z właściwą mu serdecznością.

Najlepiej mi się pisze — powiada nasz satyryk — gdy mię co oburzy lub zirytuje, wtedy ani śpię, ani jem, aż napiszę, lepiej czy gorzej, a napisać muszę. Nieraz, ochłonąwszy, widzę, że niezupełną miałem rację, i wówczas nie drukuję, ale napisać muszę, a napisawszy a raczej wypisawszy się, jestem już spokojny i zapominam. Idę ulicą, słyszę zdanie charakterystyczne, biorę je żywcem a widzianego człowieka ubieram w historyjkę — i typ gotowy«.

W kwestjach społecznych kieruje się Rodoć upodobaniami. Najlepiej lubi biednych żydów i robotników, szlachtę i doktorów medycyny. Najbardziej zaś nie znosi burżuazji żydowskiej, mieszczan bogatych, kupców, prawników, adwokatów, sędziów, i dla tego co do nich odrobinę stronniczym być musi.

Przez 10 tomików jego satyr wiła się czerwona nić serdecznej nienawiści do stańczyków i lokaji politycznych; zwrot w dwu ostatnich datuje się od lat sześciu dopiero.

Pierwszy wiersz Rodocia drukował »Kurjer Świąteczny« w Warszawie na wiosnę 1873 r.

Mówiąc o wpływie, jaki wywarli na twórczość Rodocia inni pisarze, wspomnieć należy przedewszystkiem Berangera. Dla wyrobienia sobie tak zalecanej przez Kraszewskiego zwięzłości poeta nasz wziął się do tłómaczenia Berangera, którego jasność i zwięzłość jest nieporównana. Ciężka to była praca. Przez pół roku starając się zachować formę jego do najdrobniejszych szczegółów i treść co do słowa, nieraz całymi dniami chodził po lesie, szukając wyjścia

z gąszczu rymów; nieraz upadał ze znużenia, ale zawsze w końcu odpowiednie wyrażenie znaleźć musiał. Mózg miewał — wskutek silnego wytężenia — tak wyczerpany, że na razie zgoła myśleć nie bywał w stanie. Tę zawziętość z tworzeniu, choć w mniejszym stopniu, ma on do dziś dnia, choć po 22-letniej praktyce robota idzie mu lżej.

Owoż Beranger wycisnął swoją zwięzłością wybitne piętno na fizjonomji literackiej Rodocia. Początkowe jego utwory są prostem naśladownictwem Berangera z jego refrenami. Ze swojskich poetów Kochanowski dał mu pogodę, Syrokomla prostotę i serdeczność, Pol i Pasek fantazję szlachecką, którą zresztą miał już sobie wrodzoną i którą czerpał z otoczenia, Lam chęć zjeżdżenia tego, co się złem wydało. Tych ośmiu po obrobinie — dodawszy własny jego niecierpliwy sangwiniczny temperament — zrobiło go poetą.

Sądzę, że każdy pisarz jest sumą wielkich poprzedników, ale także ich różniczką. Czem się różni satyra i humor Rodocia od innych? Kto u nas pisał satyry humorystyczne? Krasicki? ale są to satyry długie, rozwlekłe, robione na dawną modłę. Nazwałbym je epicznemi, gdy Rodocia są więcej dramatycznemi (monologi i djalogi). Lam miał więcej dowcipu od niego ale mniej humoru. Wilczyńskiego humor jest nieco kostyczny. Humor Rodocia najbardziej przypomina staroszlachecką swą rubasznością i zacięciem Paska, który może najtrwalsze wyrył na nim bruzdy.

Satyra Rodocia jest łagodną, dobroduszną, nie gruchocze wad społecznych cepem szyderstwa, nie bryzga jadem pamfletu, ale lekkim, pobłażliwym nawet uśmiechem ironji wytyka pospolite codzienne grzeszki życia galicyjskiego.

Dr. H. Biegeleisen.

PRZY STUDNI.

(NA BUNARU).

POWIASTKA Ł. K. LAZAREWIĆA.

I.

Z lekkimi podmuchami wiatru, niby jakieś widma w bieli, podnoszą się z bruzd wielkie pasma mgły; pędzą w tę stronę, kędy wiatr powionie, a potem, przemienione w drobne, białawe kryształki, jak kolczyki wieszają ci się u brody i wąsów, a koniowi u grzywy. To szron. Nogi ci marzną, a oczy łzawią się. Już nawet *rakja* [1] nie zdoła ogrzać ci serca, więc oglądasz się niecierpliwie, czy nie spostrzeżesz gdzie chaty i gospodarza, któryby chętnie powitał gościa.

Wiem *bogami* [2], dokąd mam się udać. Pójdę do Macieja Dzienadyća. Oto dom jego, gdzie na śliwie uprzejmie wisi flaszka z *prepeczenicą* [3]. Kto ten dom omija, niech łyknie — tego życzy Maciej. A gdy wstąpisz do jego domu, gotówby cię na ręku nosić... Nie zdołam wszystkiego opowiedzieć — trzeba to na własne oczy oglądać! Co to za dom! Prawdziwa stara *zadruga* [4] — istny obóz wojenny. Przyjdź ino w wieczór, a jeśli jesteś oczekiwany, to cię jedna synowa spotka już na drodze, ze światłem w ręku, druga stoi w ogródku, trzecia przed chlewem, czwarta psy odpędza, piąta jest w kuchni, szósta w izbie, dokąd cię prowadzą — istne weselisko! I wesoło u nich i skromnie, a wszyscy zadowoleni. Ale niech cię Bóg uchowa od zwady z kimkolwiek w ich domu, bo sześciu z nich służyło w wojsku, a jeden nawet i teraz jest prawdziwym żołnierzem pod chorągwią w Belgradzie. I *moby* [5] też nie potrzebują wcale. Po co im moba przy tylu rękach? Trzy pługi orzą u nich bez przerwy, a gdy handlarze poczną skupować nierogaciznę, tęgo pęcznieje trzos Macieja.

Tego ich Arsena znam z owych jeszcze czasów, kiedy nie był żonaty. Wydobędzie, bywało, piszczałkę z za pasa i wygrywa wciąż na niej około domu Burmazowićów. A Burmaz ma córkę — cud, nie córkę! Powiadam, gdy mijasz ją, a ona spojrzy na ciebie temi głębokiemi źrenicami, znika ci wszystko z przed oczu i ledwie utrzymasz się na koniu.

Ale Arsen jakoś przyzwyczaił się był do jej oczu i już się ich nie lęka. Założył nogę na kół u płotu, łokciem oparł się o drugi, podparł głowę ręką i rozmawia z nią:

— Wstyd mi wspomnieć o tem babuni, a dziadowi za nicbym nie odważył się powiedzieć.

Anoka nie zawstydziła się, jakby wypadało. Figlarnie spogląda z pod oka, przechyliła się nieco na stronę, a ukrywając niezadowolenie: rzecze:

— No to i dobrze! Wyjdę za Filipa Maryczyća!

— Co? — krzyknął. — Myślisz, że cię ustąpię komu innemu? Gnaty bym połamał każdemu, ktoby ciebie choć jednym palcem dotknąć się odważył.

Anoka kapryśnie tupnęła nogą, wyprostowała się, podniosła głowę:

---

[1] Rakja = gorzałka.

[2] Bogami = jak Boga kocham.

[3] Prepeczenica = rodzaj wódki.

[4] Zadruga = spółka domowa i rodowa (patrz pracę o zadrudze w *Wiśle* przez B. Grabowskiego).

[5] Moba = tłoka.

— Oho! Więc wolałbyś, abym doczekała siwych warkoczy? Widzicie go!

Ale Arsen już tego nie słucha. Objął ją za szyję, ujął za rękę i przez płot przyciąga ku sobie. Ona niby mu się opiera, ale zarazem tuli się ku niemu i tajemniczy płomień ją ogarnia, gdy czuje, jak męskie ramię otacza jej kibić.

Dobra byłaby z niej dziewczyna, gdyby ją Burmazowić nie był strasznie rozpieścił. Ale cóż miał począć? Podczas cholery pomarło mu tyle dzieci, że nad Anoką czuwał potem, niby nad kropelką wody na dłoni. Niedobrze to jest pieścić dziecko i pobłażać mu, nawet w razie, gdyby też było jedyne.

Owego wieczora powrócił Arsen do domu dziwnie zamyślony. Wbrew zwyczajowi wpierw zajrzał do piwnicy i tęgo łyknął przez lewar z podwójnej baryłki. A dotychczas nie pił jeszcze nigdy. Usiadł następnie na pniaku i pozostając w cieniu, patrzył na to, co się działo na dziedzińcu. Przez otwarte drzwi od kuchni widać jak bucha ogień czerwonym płomieniem i liże kocioł i łańcuchy, na których ten wisi. Arsena też począł ogarniać jakiś ogień; zrobiło mu się gorąco, więc dziwił się, że go aż tu dosięga ten płomień z kuchni. Po dziedzińcu przesuwają się od czasu do czasu czarne cienie ludzi i psów. Ze stajni dolatuje odgłos stąpania koni, przed wozownią Nenad, który dopiero co powrócił z miasta, wyprzęga woły. Czasem kokosz spadnie z morwy i łopocząc skrzydłami, wciska się napowrót pomiędzy towarzyszki. Czasami śród ciszy wieczornej rozmowa zadzwoni lub mysz pocznie skrobać pod pniakiem, na którym siedzi Arsen. Poczęło mu się kręcić w głowie. Poczuł, że mu serce bije przyśpieszonem tętnem i zląkł się nieco. Naraz począł śmiać się głupim śmiechem bez żadnej przyczyny. Potem zapłakał, sam nie wiedząc dla czego. Jednak przez śmiech i łzy widział niewyraźny obraz Anoki, która go tak chwytała za serce, że zdawało mu się, iż tu natychmiast powinien umrzeć. Oparł się na baryłce, z której pił i począł umierać, ale wydawało mu się to tak przyjemnem, jak gdyby tuliła go do serca Anoka, lub unosił szalony koń myszaty Ostoića... Przytrafia się to zresztą każdemu, kto się poraz pierwszy upija.

Już był zasnął, gdy wtem weszła do piwnicy ze światłem w ręku Vilinka, szukając czegoś. Drgnęła, spostrzegłszy Arsena z lewarem na pniu przy baryłce. Przestraszona, zbliżyła się ku niemu i dotknęła się jego ramienia.

— Złotko moje! — zawołała.

Arsen otworzył krwią nalane oczy.

— A, toś ty pijany! — krzyknęła Vilinka.

Teraz dopiero zrozumiał Arsen stan swój. Prawie z radością rzecze:

— Tak! pijany...

— A to dlaczego?

— Bo chcę zabić Filipa Maryczyća!

Machnął lewarem ponad głową, uderzył nim o ziemię, złamał go i począł śmiać się.

I Vilinka zaśmiała się.

— Cóż ci uczynił Filip?

— Chce wziąć Anokę.

— No to i cóż z tego? Niech sobie zabiera.

— Ale ja nie pozwolę!

Posunął się nieco naprzód i chciał się podnieść, ale jego plecom widocznie bardzo przyjemne było sąsiedztwo baryłki, więc uparcie powracały do dawnej pozycji.

— Więc ty chcesz się z nią ożenić?

— Ja, a dlaczegożby nie?

Ale powiedziawszy to, zmieszał się, odwrócił się twarzą ku baryłce i ze łzami w oczach mówił:

— No, przecież brat ożenił się. I ja też chcę... Tak...

Chciał na potwierdzenie swych słów uderzyć po kolanie, ale pięść, nie pytając go o pozwolenie, uderzyła o pień. Za karę ukąsił ją zębami. Vilinka śmiała się coraz serdeczniej.

— Oj, biedny chłopcze! No, ale ożenisz się z nią, bądź o to spokojny. Powiem jutro stryjowi, stryj babuni, a już babunia razem z dziadem pokierują całą sprawą, jak przystało. Chodź, odprowadzę cię do śpichlerza, aby cię, biedaku, dziadunio nie spostrzegł w takim stanie! Idź, prześpij się. Nie troszcz się o nic — wyprosimy dla ciebie dziewczynę... nawet i Anokę, jeśli już tak bardzo sobie tego życzysz!

— Życzę, bogami!

I Vilinka, korzystając z ciemności, zaprowadziła pijanego szwagra do śpichlerza. Okryła go kilimkiem i poszła do kuchni, aby opowiedzieć towarzyszkom o całem zajściu. Ale żadnej z nich ta nowina nie ucieszyła. Śmiały się wprawdzie, ale śmiech ten nie szedł im od serca.

— Nie do naszego ona domu stworzona — mówiły.

— Strojnisia!

— Z tem jeszcze pół biedy, ale rozpieszczona, że niech Bóg uchowa.

— Wszystkichby powaśniła.

II.

Maciej Dzienadyć, człowiek to już całkiem stary. Na czole jego widać bliznę po ranie, co ją był otrzymał w okopach Hajduka-Velka. Nietylko jego krewni, ale i całe sioło zwało go dziaduniem. Żona jego zmarła jeszcze wówczas, kiedy byli na wygnaniu. Po starszym bracie została żona, która podziela z nim obecnie władzę w zadrudze. Radojka jej na imię. Podczas obiadu siada po prawicy Macieja, i w całym domu nic ważnego nie zajdzie, zanim ona nie wyjawi swego zdania, lub przynajmniej zanim dziadunio z nią się nie naradzi. Rozumie ona

doskonale swoje położenie i nie nadużywa go. Naprzykład dziadunio zapyta:

— Co myślisz, bratowo, o tym obstalunku Maryczyća? — Czy mamy go przyjąć?

— Jak chcesz bracie, tyś mężczyzna.

Całuje dziadunia w rękę, a wszyscy — zarówno mężczyźni jak i kobiety — całują ją, chociaż to nie jest u nas we zwyczaju. Po Macieju i Radojce jest jeszcze jeden członek rady domowej, to najstarszy syn dziadunia — Blagoje, ojciec Arsena.

Oprócz tych trojga nikt w domu nie rozkazuje; wszyscy ich ślepo słuchają i z pokorą ulegają ich rozkazom. Gdy Maciej pójdzie z podatkiem, Radojka jest w cerkwi, a Blagoje przy bydle, dom Dzienadyćów staje się podobnym do szkoły po odejściu nauczyciela. Wszyscy zgodnie weselą się i hałasują i każdy stara się, korzystając ze sposobności, nadokazywać i naśmiać się dowoli. Ale niech no ktoś z tej trójcy pokaże się we wrotach, natychmiast zapanuje porządek i posłuszeństwo. Zresztą i oni pozwalali wspaniałomyślnie czasami poweselić się dzieciom, a dorosłym zapalić fajki.

Dziadunio był... był... jak mam to powiedzieć?.. wiecie: stary człowiek, to prawie dziecko! Czasami zagniewa go byle drobnostka: wściekа się, wymyśla, przeklina — myślisz, że cię natychmiast obije. Czasami znowu łagodny, miękki jak bawełna, pieści wciąż dzieci, daje im po dziesiątce, albo rozpłacze się ni z tego ni z owego. Naprzykład powie:

— Ot, zostałem sam jeden, jak suche drzewo na górze! — i w płacz!

Młodość głupota — starość słabość.*

Nazajutrz po owym wypadku z Arsenem zbliżył się Blagoje do Radojki; na twarzy jego malowało się zafrasowanie.

— Stryjenko! Ten nasz Arsen, przebacz mi, rozmiłował się na zabój w owej srocе Burmazowića.

— Arsen?... Ten, któregośmy to niedalej jak przeszłego lata zamomczyli**?

— Ten sam.

— Powiadasz, w tej Burmazowićowej sroce?

— Tak.

— W Anoce?

— W niej właśnie.

— Nie do naszego ona domu stworzona.

— I ja toż samo powiadam! Ale on, przebacz mi, głowę postradał. Mówiła mi Vilinka, że wczoraj sporo głupstw nabroił...

— Cóż takiego?

— Nie mów tylko, błagam cię, o tem dziaduniowi!...

* Przysłowie: mladost — ludost, starost — slabost.

** Zamomczyć = uznać za pełnoletniego co do robót gospodarskich.

— Uchowaj Boże!

— Otóż Vilinka opowiada, że się upił, przeklinał i odgrażał się, że zabije Filipa Maryczyća, bo ten, wiesz, kręci się tam.

— Ot, w czem sprawa!...

Radojka zamyśliła się. Potem rzekła:

— Opowiem to dziaduniowi, zobaczymy, co on o tem myśli.

— Tylko, błagam cię, nie napomykaj mu o tem!

— Bóg z tobą!

Z serbskiego przełożył L. Wasilewski.

(D. c. n.)

Z GŁOSÓW PRASY.

»Przegląd Poznański« umieszcza w pierwszym numerze tegorocznym artykuł w kwestji żałoby narodowej, który, jako zasługujący pod każdym względem na uwagę, powtarzamy w głównych ustępach czytelnikom »Tygodnia«.

Zdawaćby się mogło, pisze »Przegląd Pozn.«, że ogrom polskiej niedoli jest żywą pamięcią i świadomością w społeczeństwie naszem, bo każda godzina życia narodowego mieści w sobie ponure »memento« wydziedziczenia. To nie bitwa przegrana: ani Jena, ani Waterloo, to rana, codziennie jątrzona, to ból chroniczny, to — jednem słowem — niewola. A przecież, gdy ucho przykładamy do piersi narodu, zdaje nam się niekiedy, że dźwięk tej żywej pamięci gdzieś się rozpływa i tak przycicha, jak płacz zrezygnowanego i pogodzonego z losem swoim ślepca...

Poczucie krzywdy, poczucie nieprzedawnionych praw naszych tępieje w narodzie. Jest zresztą w społeczeństwie polskiem stronnictwo potężne, które półotwarcie, a nawet bez wszelkich osłonek proklamuje ideę bezwzględnego »pogodzenia i pojednania« i wszystkie siły wytęża, aby w narodzie zabić pamięć, wypłoszyć sny ewentualnego odrodzenia i wprawiwszy kraj cały w stan bezczułości, zamienić Polaków »w Niemców, Austrjaków lub Rosjan polskiego języka«...

Wydaje nam się, że apostołowie obecnej ewangelji politycznej w pogoni za wątpliwemi koncesjami ze strony rządów zaborczych tracą zupełnie z oka psychologiczne warunki bytu narodowego, bo nie zniszczeje wprawdzie naród, który za ustępstwa w dziedzinie szkolnictwa płaci lojalnem *placet* w zakresie walk parlamentarnych o budżet i wojsko, ale zachwiać się może w kardynalnych podstawach ten, któremu krzyczą bez-

ustannie nad uchem prorocy jego, że każda żywsza manifestacja patrjotyzmu jest objawem politycznego niemowlęctwa, każda iskra narodowej pamięci sentymentalnym frazesem, a konsekwentne objawy sympatji zwyciężonego ludu dla zwycięzców wyrazem obywatelskiej dojrzałości. Czegoż dzisiaj polska »trzeźwość« nie stroi mianem demonstracji? Msza dziękczynna w rocznicę bitwy Racławickiej, straż obywatelska w sokolich mundurach, wstrzymanie się od balów publicznych w roku żałoby — wszystko to zyskuje miano polityki demonstracyjnej i ginie pod wyrokiem »ojców narodu« jako niebezpieczna junakerja lub chorobliwy histeryzm...

Nie pragniemy żadnych Donkiszoterji demonstracyjnych i odrzucamy z wszelką stanowczością wszelkie krzykliwe manifestacje narodowego bólu, ale pragniemy w dyskretne znamiona żałoby ubrać setną rocznicę niedoli naszej, aby przytępioną świadomość krzywdy przedwiekowej, poczucie odrębności i odporność naszą rozbudzić i żywić...

PROSTA OPOWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Na schodach spotkał djaka z cerkwi, którego wziął za wyższego urzędnika.

— Trza znowuj sprobować — pomyślał.

— Czego szukacie tutaj? — zapytał djak łamaną polszczyzną.

Błażek skłonił się nisko i od początku opowiedział swoją historję.

— Nie macie żadnego dowodu?

— Nie, nie mam...

— Hm, to ciężka sprawa i będzie dużo kosztować... ale są sposoby... hm, żebyście chociaż wiedzieli, pod jakim numerem zapisali was do cerkiewnej książki... Nazywacie się Błażek, tak? a jak nazywał się wasz dziad?

— Wojciech Błażek.

— Wojciech Błażek... hm, hm... o, to będzie dużo kosztować. Czyście wy gospodarz?

— A juści.

— No, dacie dziesięć rubli.

— O, Panno Przenajświętsza! dziesięć rubli! nie mam grosza przy duszy, a tam mój Franek czeka, ciało leży... gorąco...

— No, to idźcie i szukajcie sobie kogo innego.

— O, Matko Boska! — rozpaczał Błażek, załamując ręce — za moje najmłodsze zapłaciłem dwanaście rubli i jeszcze po dzisiejszy dzień nie ochrzczone... tyla pieniędzy... tyla pieniędzy!...

— Słuchajcie, kiedyście tacy biedni, to wam to zrobię za 8 rubli. Dajcie mi 8, a ja zaraz pojdę do biskupa. Nie macie? sprzedajcie sukmanę, buty, róbcie, co się wam spodoba, to mnie już nie obchodzi.

— A kiej zaś będę miał pieniądze?

— Czekajcie na mnie, przed zachodem słońca, przy drzwiach cerkwi, o tam... widzicie? przynieście mi 8 rubli, a ja dam wam papier.

Błażek probował jeszcze zredukować żądaną przez djaka kwotę. Ofiarowywał 3, potem 5 rubli, w końcu, targ w targ, stanęło na siedmiu rublach.

Niezupełną przecie prawdę powiedział Błażek djakowi, posiadał jeszcze 3 ruble i nieco drobnych. Usłużny żydek, z którym już zrana zabrał był znajomość, postarał się o resztę. Sukmanę i buty wziął jako zastaw i pożyczył Błażkowi rubli 4, rachując rubla procentu tygodniowo.

Nadszedł wieczór. Przy drzwiach cerkwi czekał djak, niecierpliwy i niespokojny. Wieśniak spostrzegł jego niepokój i z obawą wydobył pieniądze. Dyak wyrwał mu je z ręki, szybko obejrzał się w około i szepnął, rzucając zwinięty papier.

— Na, macie, bierzcie, dosyć mnie to mordęgi kosztowało, musiałem chodzić aż do samego archireja.

— O, wielmożny panie...

Ale djaka już nie było.

Błażek ukrył starannie kosztowny papier pod podszewką swojej czapki. Nareszcie Franek doczeka się ludzkiego pogrzebu, spocznie pomiędzy swoimi... i matczysko biedne ulży swemu sercu, gdy dzwony posłyszy...

I znowu nocą przejeżdżał Błażek tęż samą drogę, i znowu opadły go ponure myśli, jak kruki, które garść kości obsiądą. Była to już druga noc bezsenna i chociaż Błażek był silny okrutnie, to przecież mroczyło mu się w oczach. Jechał, jak we śnie.

Zimno wstrząsało nim. Sukmana została u żyda, Błażek miał na sobie koszulę jedną, a choć to było w lecie, nad ranem uczyniło się bardzo chłodno. Biedak był nawskroś przesiąknięty rosą... szkapa ledwie się wlokła... Zatrzymał się przed karczmą, wypił kieliszek wódki, dał garstkę siana koniowi i wyprostował znużone członki.

Zresztą, cóżby to i szkodziło teraz, żeby sobie chwileńkę odpoczął?... przecież nie wiezie leków dla ciężko chorego, ani akuszerki dla baby w porodzie.

— Ty tam spokojnie na ojca czekasz, nieboże, oj, nie będziesz ty już nigdy na mnie przy gościńcu czekał, oj, nigdy już nie posłyszysz, jak kobyła zarży, kiej stajnię zoczy...

Słońce weszło. Wkrótce było znów gorąco strasznie. I chłop i zwierzę tak wyglądali, że litość brała patrzeć. Nareszcie pod wieczór dojechał Błażek do wsi. Ludzie właśnie wracali z pola. Wielu z nich zatrzymywało się przed

chatą Błażkową. Opierali kosy i motyki o ścianę i wchodzili do wnętrza, skąd wybiegały głośne zawodzenia i łkania. To matka żegnała się z Frankiem, dobrzy ludzie przyszli, by go do trumny ułożyć.

Błażek drżał na całem ciele. Konia puścił luzem do stajni, a sam poszedł do stodoły, której drzwi na oścież stały otwarte. Tu przysiadł na sianie i ukrył twarz w obu rękach. Nie chciał ludziom łez swoich pokazać.

Jasiek spotrzegłszy konia samego, uderzył w krzyk przeraźliwy:

— Matko cudowna! nieszczęście... szkapsko samo wróciło!

Błażek przywołał syna.

— Jasiek, Jasiek! chodźno tu, żywo! bierz co rychło drugą szkapę i wyrywaj do proboszcza... oddasz dobrodziejowi to pisanie, słyszysz? dobrodziejowi, tylo samemu dobrodziejowi — i zapytasz, kiedy będzie pogrzeb. Ino mi pisania nie zgub... kosztowało ono siła pieniędzy... o tu... trzymaj mocno.

Jasiek nie śmiał ojca o nic pytać, wskoczył na konia i pojechał.

Proboszcz siedział przy herbacie, zajęty czytaniem. Wpuszczono Jaśka zaraz.

— Czego chcesz, moje dziecko? — zapytał ksiądz łagodnie.

— Przywiozłem dobrodziejowi pisanie — odpowiedział Jasiek, całując księdza w rękę. — A ojciec pytają, kiedy będzie pogrzeb.

— Czyj?

— Dyć Franka.

— Więc otrzymaliście wreszcie pozwolenie? Bogu niech będą dzięki! gdzież to pisanie? daj prędko!

Proboszcz zbliżył się do światła i czytał. Nagle znikł wyraz rozradowania z jego oblicza, oburzenie i boleść głęboka zajęły jego miejsce.

— Czy twój ojciec był w Chełmie? — zwrócił się do chłopca.

— Byli, ino co powrócili.

— Słuchaj mnie, moje dziecko, weź ten papier i zawieź go napowrót ojcu... powiedz mu, żeby jeszcze dziś, ale to koniecznie dziś jeszcze, choćby o najpóźniejszej porze, przybył do mnie.

— A pogrzeb?

— Już ja się z twoim ojcem rozmówię. Idź, moje dziecko, idź biedaku, — oj ciężka to sprawa i smutna bardzo!

Wkrótce po północy Błażek przybył, niespokojny srodze.

— Źle, mój synu, źle! — zaczął proboszcz — cóż to za papier? tu wyraźnie jest wypisane, że: ponieważ twój dziad ochrzczony był w unickim kościele, przeto ty i cała twoja rodzina jesteście prawosławni.

Błażek stał jak wryty. Nieruchome oczy skierował na księdza, zdawał się nie pojmować go wcale.

— Chciałem cię sam ostrzedz, mój synu, abyś tego papieru nie pokazywał nikomu... bo gdyby się pop o nim dowiedział!... Znam cię, wiem, że pragniesz pozostać wiernym wierze ojców twoich. Może podasz prośbę wyżej... ale to pisanie schowaj dobrze, nie pokazuj nikomu!

— O, Jezusie Nazareński! — jęknął chłop — czy aby dobrodziej dobrze przeczytali! ojcze! dobrodzieju!

— Niestety, aż nadto dobrze, jeśli mnie jednak nie wierzysz, idź do pana Polańskiego, ale tylko do niego, rozumiesz? niech Bóg broni do popa, lub do pisarza!

— To ten odmieniec, pisarz, ten przeklętnik! to on ściągnął tę niedolę na moją głowę! a żeby mu język kołem stanął! Dobrodzieju serdeczny, cóże ja pocznę tera?

— Wiesz dobrze, moje dziecko, że ja nie, mam żadnej władzy i pomimo najlepszych chęci nie mogę ci przyjść z pomocą.

— Ale ja im Franka nie dam! niedoczekanie ich, nie dam! — wykrzyknął chłop z rozpaczą, zaciskając pięście, po chwili zaś dodał cicho i zmienionym głosem: — Wy mi nie zabronicie, dobrodzieju, pochować go w nocy, na naszym cmentarzu?

— Nie mogę ci dać na to przyzwolenia, ale przyrzekam, że wam nie przeszkodzę.

— Boże, mój Boże! byliśwa szczęśliwi, wszystko nam się tak wiodło! — szeptał Błażek, jakby do siebie, — aż tu naraz, kieby piorun z jasnego nieba w nas uderzył... Ciągiem ino płać i płać, kary i kary... najmłodszy mój robak nieochrzczony.. a mój pierworodny, taka dusza, taki robotny i onego grzebać w nocy, kiej psa jakiego? Czyż już Boga niema w niebie?

— Nie bluźnij, mój synu, nie rozpaczaj, może się też jeszcze kiedyś wszystko zmieni.

Błażek podjął proboszcza pod nogi, ucałował jego rękę i wyszedł, wzdychając ciężko. Był już prawie zdecydowany pochować syna potajemnie, w nocy, naradziwszy się jednak z Pawłem, stangretem ze dworu, postanowił wrócić do miasteczka i szukać innego katolickiego księdza. Któżby tam zauważył jego obecność w pośród zebranych na pogrzeb wieśniaków?

We dwa dni później, kiedy wracał ze swej, rozumie się, bezskutecznej wyprawy, ujrzał zbiegowisko przed swoją chatą.

Była to straż ziemska, oraz wójt, pisarz i gromada ciekawych.

Błażek poskoczył, jak podcięty biczem, co tchu biegł ku swemu domostwu i nie zdejmując czapki, zawołał zuchwale:

— Cóż to? i czegóż tu chceta? czy złodzieja u nas w chałupie złapali, czy co?

Wójt, który się zawsze odznaczał charakterem pojednawczym, przerwał:

— Uspokójcie się, Józefie, widzicie, w taki upał nie można tak długo trzymać ciała w domu,

przyszliśmy zapytać was, kiedy chcecie nareszcie waszego syna pochować?

Błażek powstrzymał gniew i spokojniej-nieco odrzekł:

— Jabym chciał bodaj dziś go pochować, niech mi jeno pozwolą na naszym cmentarzu...

Gdy to mówił, oczy jego spotkały złośliwy uśmiech pisarza, siedzącego na ławie przed chatą.

— Świaszczennik powiedział, co on nasz! — odezwał się z ruska jeden ze strażników.

— Jakto wasz! — wrzasnął Błażek — to może i ja wasz, i ta chałupa wasza! Wasz! ale go nie dostaniecie! wasz! ale go nie dam! nie poprowadzę go na wasz cmentarz!

— Buntowszczyk jesteś! — zaczął drugi strażnik.

Ale Błażek nie raczył odpowiadać. Podniósł głowę, prawą rękę włożył za pazuchę, lewą ujął konia za uzdę, a odprowadziwszy konia do stajni, poszedł po żonę, która dotąd była jeszcze u sąsiadów.

Wójt z pisarzem naradzali się długą chwilę. Postanowiono wreszcie postawić tymczasową straż przy zwłokach, a nazajutrz pochować je na cmentarzu prawosławnym, choćby miano użyć siły, gdyby rodzina stawiała opór.

C. d. n.

Rozbiory i sprawozdania.

Monumenta confraternitatis Stauropigianæ Leopoliensis, edidit Dr. Wladimirus Milkowicz, tomus I., peus I, contines diplomata et epistolas ab anno 1518—1593.

Pod powyższym tytułem wyszła pierwsza część pierwszego tomu wydawnictwa nadzwyczaj pożądanego dla miłośników i badaczy dziejów Rusi halickiej. Bractwo stauropigjańskie odegrało w XVI—XVII wiekach tak wybitną rolę w dziejach Rusi południowej, utrzymywało stosunki tak rozległe, pozostawiło archiwum tak bogate, że opublikowanie tegoż rzucić może dużo światła na życie wewnętrzne Rusi, na mnóstwo zawiłych i dotychczas wątpliwych kwestji historycznych i literackich. Co prawda, wielka część dokumentów tego bractwa była już publikowaną, najpierw przez Zubrzyckiego w rozmaitych wydawnictwach rosyjskich, dalej Hołowackiego, ks. Petruszewicza, dra Szaraniewicza i innych. Przed kilkoma laty rozpoczętem było wielkie »Jubileuszowe wydanie dokumentów bractwa, które jednak skończyło się na tomie pierwszym; plan tego wydawnictwa przekształcono na »Monumenta«, których wydawnictwem zajmuje się młody uczony dr. Milkowicz. W wydanej obecnie pierwszej części pierwszego tomu (496 str. prócz przedmowy) znajdujemy 300 aktów, dokumentów i listów, pisanych w językach ruskim, polskim, łacińskim, greckim, włoskim, arabskim i ormiańskim. Do dokumentów, pisanych w językach orjentalnych dodano przekłady. Przedmowa, regestr dokumentów i objaśnienia wydawcy napisane są po łacinie. Przeważna część zawartych tutaj dokumentów znaną już była z innych wydawnictw, lecz często tylko w kopjach lub przekładach, co spowodowało mnóstwo błędów. Dr. Milkowicz, wydając oryginały lub poprawne teksty dawnych przekładów, prostując liczne myłki chronologiczne, a odróżniając dokumenty autentyczne od falsyfikatów, których tu jest kilka i to bardzo ważnych, oddał nauce znaczne przysługi. Co do treści, to największa część zawartych w tej części dokumentów odnosi się do sporu Stauropigji z biskupem lwowskim, Gedeonem Bałabanem, sporu nadzwyczaj zajmującego w swych perypetjach, a ogromnie doniosłego w swych skutkach, gdyż był on jednym z motywów powstania śród ówczesnych hierarchów ruskich myśli o unji z Rzymem. Część druga pierwszego tomu »Monumentów« zawierać będzie dokumenta od r. 1593—1600, a więc głównie materjał, odnoszący się do dziejów unji brzeskiej 1596 roku.

Dr. Iwan Franko.

Z ruchu piśmienniczego.

Nakładem księgarni Jakubowskiego i Zadurowicza wyszły Rodocia: **»Pogadanki lwowskie** roku pańskiego Wystawy krajowej pisane«. Wyborne te wierszowane feljetony, ukazujące się obecnie w edycji książkowej, ozdabiały poprzednio szpalty »Kurjera Warszawskiego«.

Brandes Jerzy. **»Uczucie narodowe«**. Mowa, wygłoszona przy poświęceniu nowego gmachu wolnomyślnego związku studenckiego w Kopenhadze w dniu 1. lutego 1894, tłumaczył W. R. Poznań, nakładem redakcji »Przeglądu Poznańskiego«.

Chociszewski Józef. **»Malowniczy opis Polski**, czyli geografja ojczystego kraju«. Wydanie II. poprawione i pomnożone. Poznań, nakł. K. Kozłowskiego.

»Encyklopedji Rolniczej«, wydawanej staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, wyszedł świeżo zeszyt XLI. Zawiera on kilka bardzo dobrze opracowanych artykułów, omawiających ważne gałęzie gospodarstwa wiejskiego.

»Wycieczki w krainę Flory, obrazy z życia wszechświata roślinnego«. Kraków, w drukarni Związkowej. Warszawa, G. Centnerszwer. Dwa tomy, str. 330 i 233.

Jest to popularnie napisane dzieło znanego botanika K. Müllera. Składa się z dwóch części. Pierwsza jest poniekąd teorją, wyświecającą umiejętnie zjawiska roślinności: druga jest rodzajem podróży botanicznej po krajach biegunowych, amerykańskich, azjatyckich, afrykańskich i australskich. Trzysta ładnych rycin, przedstawiających nietylko rośliny, ale i rozliczne krajobrazy, objaśnia te »Wycieczki w krainę Flory«, do których zalet należy i taniość wydawnictwa.

Zbiór strojów ludowych słowiańskich (**Narodne kroje slovanske**) wydaje w chromolitografjach w Pradze u F. Topicza Adolf Liebscher.

PRO MEMORIA.

22—23 stycznia 1863. Wybuch powstania w Królestwie Polskim. Dekret uwłaszczający włościan.

22 stycznia 1849. W bitwie pod Tercza', na Węgrzech, Polacy przechylają zwycięstwo na stronę jenerała Klapki.

24. stycznia 1793. Toruń zamknął swe bramy przed wojskiem pruskiem.

25 stycznia 1831. Sejm w Warszawie ogłasza detronizację Mikołaja.

26 stycznia 1863. Powstańcy wypędzają załogę moskiewską z Raw .

26 stycznia 1876. Rzeź unitów w Pratulinie. Zabito 14, raniono kilkudziesięciu.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.